

Adam Wiaryga-Minieski.

## JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

30

W tej chwili w bramie ukazała się Róża Goldbaumówna, ubrana w ciemny, skromny, bardzo gustowny kostium. Paniąka zdawała się być zamyślona i smutna.

— List mam dla pani — zatrzymał ją listonosz.

— Doprawdy? — ucieszyła się tak, że aż rumieńce oblały jej twarz.

W pani Dowgirdowej drgnęło podejrziwe przecucie. Szybko rzuciła wzrokiem na list w prostej białej kopercie który Róża wzięła z rąk listonosza.

Jedno spojrzenie wystarczyło. Poznała bujne, wyraźne pismo Tadeusza.

— Do niej pisał... Do niej!... A do mnie... do małki ani słowa!...

Żal, gniew, ból obrażonej macierzyńskiej miłości odebrały pani Dowgirdowej panowanie nad sobą.

Ciężko dysząc, z pociemniałymi oczyma stała przed dziewczyną i rzuciła jej prosto w twarz:

— Bezwstydna!... — rękę wyciągnęła przed siebie, jakby chcąc wydrzeć Goldbaumównie list.

Róża zbladła, cofnęła się przyciskając kopertę do piersi. Na obelgę nie odpowiedziała jednak słowami oburzenia, nie wybuchnęła. Wyraziste, piękne oczy załśniły łzami, a z ust wydobyło się ciche, żalosne westchnienie:

— Och! Pani... pani... gdyby pani!...

Ta pokora dziewczyny nie przejędnęła pani Dowgirdowej. Postanowiła skorzystać ze sposobności, aby raz nareszcie rozmówić się ze „żydowicą”.

— Żadam aby pani zerwała korespondencję i wogóle wszelkie stosunki z moim synem!

Róża bardzo blada, głęboko wzruszona, oślała krople łez, zwisające na jej rzęsach. Nie spuszczała już głowy, nie cofała oczu przed gniewnem spojrzeniem wzburzonej kobiety.

— Nigdy! — odpowiedziała z mocą — dopóki on sam tego nie zażąda!

— Coż to szyjesz tak pilnie, Wandziu? Widzę, że coś ładnego — rzekła Róża, pochylając się nieco nad pięknym haftem, który przyjaciółka trzymała w ręku.

Wanda Borowicka nie podniosła głowy z nad swej roboty, nie oderwała od niej wzroku. Może ta praca pochłaniała ją tak mocno, a może też chciała ukryć falę krwi, co przepłynęła po alabastrowych policzkach i przygasić iskry gorącego podniecenia, błyszczące w oczach.

— To będzie poszewka na poduszkę. Prawda jakie ładne płótno? To mamusia chowała całą sztukę przedwojennego płótna na wyprawę dla mnie.

Ostatnie słowa wymówiła ciszej, jakby jakoś wahając się, ale igła żywiej w jej cienkich, smutnych, gęstych palcach artystki migotać poczęła.

— Na wyprawę... — powtórzyła Róża tonem, w którym mimo, a nawet wbrew jej woli zadźwięczało zdziwienie — ty idziesz za męża, Wandziu?

Wanda wyprostowała się spojrzała przyjaciółce prosto w oczy. Przez cudnie rzeźbione rysy przelatywały drgania nerwowe, subtelny łuk różowych warg drżał lekko.

— Co za dziwne pytanie! — rzuciła z widocznym rozdrażnieniem — pytasz, jakbyś z nieba spadła!... Czy nie wiesz, że jestem zaręczoną?!

Głos panny Borowickiej brzmiał prawie ostro, wyzywająco.

Róża wzięła ze stolika jakąś książkę i zaczęła z ogromną pilnością przeglądać.

— Ależ oczywiście, że wiem — bąknęła zmieszana — tylko nie wspominałaś mi, że ślub twój nastąpi już wkrótce.

Rumieńce ogniste na licach Wandy i płonące iskry w jej czarnych oczach przygasły. Jasna głowa skłoniła się znowu nad kawałkiem zahaftowanego płótna. Przez chwilę dziewczyna nie odpowiadała, z uwagą nawlekając igłę cienkim białym jedwabiem.

— Termin jeszcze nie oznaczony — wyrzekła, a Rózi zdawało się, że głos koleżanki dzi-

wnie się zmienił — to zależy od pewnych okoliczności... czy Kazio... Ale w każdym razie przygotować wszystko trzeba. Jak będziesz sama szła za męża, to dopiero dowiesz się, ile to zachodu wymaga. Ja mam już sporo rzeczy... O!... popatrz!...

Złożyła robotę i pociągnęła Rózię ku szafie, dużej szafie z jasnego drzewa.

Na półkach leżały porządnie poukładane stosy bielizny: białystowe koszule o koronkowych lub haftowanych karczkach, różnobarwne powiewne matinki, kilka obrusów z czysto lnianego płótna z pięknym, subtelnym deseniem, ręczniki z dużym, kunsztownym monogramem: W. R

— Niektóre rzeczy miałam już z dawna, trochę mamusia mi dała. O! te obrusy naprzykład to z wyprawy maminej. Mama dostała śliczną, bogatą wyprawę. Najwięcej sama sobie posyłałam. Trudno to idzie, bo wszystko takie drogie, nawet igły i nici, ale robi się. Musi się zrobić!...

Wyrazista twarz Wandy mieniła się jak jakiś żywy, ruchomy obraz. Malowały się na niej naprzemian radość i cichy smutek, nadzieja i nerwowy jakiś niepokój, rozmarzenie miłosne i z trudem hamowane rozdrażnienie.

Róża oglądała ręczniki, obrusy, chusteczki, i to oglądała tak uważnie, jakby się ich deseni na pamięć nauczyć zamierzała, ale na przyjaciółkę nie patrzyła. Nie śmiała poprosić, bała się. Ukradkiem tylko obserwowała Wandę, widziała jej ruchy nerwowe, mieniące się rysy twarzy. Skonstatowała, że Wanda zeszczupiała bardzo, a w linii jej ust i na dnie oczu czai się, jak przemocą na uwięzi trzymane zwierzę — ból.

— Ona chce się oszołomić temi przygotowaniami do ślubu, Wmawia w siebie gwałtem to, w co wierzyć przestaje. Kocha go i cierpi bardzo.

Czyż podobna bowiem, aby Wanda nie słyszała o tem, o czym mówią już szeroko w mieście że piękny Kazimierz Rawicz ma się żenić z milionową dziedziczką Burczykiewiczą. Miasto tak niewielkie, a ludzie tak złośliwi przecież. Zresztą chyba i w jego zachowaniu musi być jakaś wyraźna zmiana.

Ale Wanda snąc widzieć i słyszeć tego nie chce... Zatrzymać go pragnie pomimo wszystko.

Gdzie ambicya, gdzie godność tej pięknej, szlachetnej dziewczyny, która dawniej z taką królewską dumą umiała mówić o mężczyznach.

— Miłość nie zna ambicyi... nie zna dumy... A gdyby tak Tadek!...

Róża uczuła, że na tę myśl samą serce podchodzi jej do gardła i dławi, jakby udusić chciało.

— Mój Tadek inny... inny!...

Gdyby całym wysiłkiem woli nie panowała nad sobą, byłaby zapłakała głośno nad smutną dolą Wandy. Na wspomnienie zaś o Rawiczu zaciskała zęby z gniewu.

— Pan Kazimierz pewnie cieszy się bardzo, że już tyle rzeczy przygotowałaś na wasze przyszłe gospodarstwo? — rzuciła nagle podstępne pytanie.

Wanda przygryzła zębami wargę tak mocno, że aż ukazała się drobna, jak purpurowa perelka, kropla krwi. Palce jej rąk zaplotły się kurczowym ruchem na czarnym alpagowym fartuchu.

Walczyła ze sobą. Paliło ją pragnienie aby dać Rózi odpowiedź potwierdzającą, ale klamać nie umiała.

Zamknęła szafę i powróciła do swojej roboty.

— Miałabym mu też czem głowę zaprzętać jak takimi drobiazgami, kiedy on poważnie i ciężko pracuje. Oczywiście, że mu wcale tych fatalasek nie pokazuję.

— I nawet o ślubie z nim nie mówisz, bo on tego tematu unika — pomyślała Róża, na której wymuszony spokój przyjaciółki przynębiające wywierał wrażenie. Zwłaszcza, że przeczyły mu dwie cienkie, bolesne fałdki, obciążające w dół kąty ust.

Zapanowała cisza przykra, kłopotliwa. Była to dla obu dziewcząt sytuacja zupełnie nowa i dziwnie niemiła. Dotychczas nie miały przed sobą tajemnic.

Wreszcie Róża pierwsza przerwała milczenie jakąś obojętną uwagą, na którą Wanda nie odpowiedziała wcale, może zatopiona we własnych myślach nie słyszała jej nawet, bo niespodzianie zadała pytanie:

— Różka, czy ty przypominasz sobie tę

Burczykiewiczównę, którą spotkałyśmy u panny Julii?

Róża drgnęła i jęła studyować deseni dywanika przed łóżkiem.

— Przypominam sobie!...

— Takie niesympatyczne, brzydkie, nadęte, ordynarne dziewczysko. Prawda?

— Prawda!...

— Ojciec jej to znany spekulant. Na lichwie żywnościowej dorobił się podczas wojny milionów.

— Tak jak i mój!... Wiem.

— O! óż... óż wyobraź sobie... że... że ta dziewczyna zakochała się na zabój w Kaziu.

Z oczu Wandy wyraz smutku nie ustępował, chociaż starała się uśmiechnąć wesoło, lekceważąco.

I znowu chwila milczenia.

— Czy to pan Rawicz mówił ci o tem?

— Ach! gdzieżby znowu. To jakaś pani opowiadała mamie. I co za nonsensy ludzie plotą, pomyśl tylko, mówią, że!...

Urwała, nie określając bliżej owych nonsensów, które ludzie plotą.

Róża nie pytała jej o to. Wiedziała aż nadto.

— Ludzkie gadaniny najlepiej puszczać mimo uszu — rzuciła szybko, czyniąc sobie jednocześnie w duchu wymówkę, że okłamuje przyjaciółkę i pozwala jej dalej brnąć w złudzeniu. Może lepiej byłoby otwarcie wypowiedzieć całą prawdę, otworzyć Wandzie oczy.

Ale czy ona uwierzyć zechce i czy kuracya nie będzie boleśniejszą od choroby?

— Nie, nie! Niech jej już tam kto inny otwiera oczy. Ja nie mogę!...

Chcąc zmienić temat rozmowy, a zarazem ulżyć własnemu sercu, zaczęła opowiadać Wandzie przykrą scenę z panią Dowgirdową.

— Wandziu, jakie to straszne, że ona mnie tak nienawidzi!... Jak mnie to boli, że muszę klinem wbijać się pomiędzy Tadeka i jego ukochaną matkę. Ale nie mogę przecież wyrzec się mojego chłopaka, unieszczęśliwił siebie i jego, bo on mnie kocha. List mi chciała odebrać, ten serdeczny, kochany list Tadeusza.

Na wspomnienie o liście Tadeka rozjaśniły się smutne, załzawione oczy, a wargi rozchyliły się uśmiechem szczęścia.

Wanda utkwiała w twarzy koleżanki spojrzeniem chmurne, badawcze.

— Nie ufaj ty mi tak bezwzględnie — odezwała się posępnie — możesz się zawieść gorzko. Jeszcze nie wiesz, jacy bywają mężczyźni! Może on do ciebie czule listy pisze, a z inną iakże!...

Róża nie pozwoliła jej dokończyć. Rozpłomieniona, z falującą piersią wykrzyknęła:

— Nie mów tak! Nie znasz go! Ja mu wierzę!

Igła wypadła nagle z palców Wandy. Płótno zesunęło się z jej kolan na podłogę.

Panna Borowicka przez chwilę ukryła twarz w dłoniach i milczała. Potem przesunęła ręką po oczach i podnosząc z ziemi swoją robotę, szepnęła cicho:

— Szczęśliwa!

Zegar stojący na komodzie cieniutkim głosikiem wydzwonił godzinę.

Wanda drgnęła.

— Ten zegar spieszy się stanowczo. To niepodobna, żeby już tak późno być mogło.

Róża wyciągnęła swój zegarek z za paska.

— Ależ wcale nie spieszy się. Co do minuty zgadza się z moim.

Czarne, wąskie, subtelne. niby ręka wykwiniego artysty zarysowane brwi Wandy zbiegły się, tworząc ciemną linię na śnieżnie białym czole jasnej blondynki.

— Doprawdy? To późno już!...

— A on nie przyszedł dzisiaj — dokończyła sobie w myśli Róża, a głośno rzekła:

— To ja już chyba pójdę, Wandziu.

— Nie, Różka, nie odchodź jeszcze... zostań! Nie gniewaj się na mnie, jeżeli powiem coś od rzeczy i że jestem jakaś taka!... Ale widzisz każdy ma swoją urozmaicenia życiowe.

Uśmiechnęła się smutnie. Rózię uśmiech ten przeniknął do głębi serca, silniej niż byłby to uczynił jakiś wybuch dramatyczny.

— Wanduś! Jaby mi się miała gniewać na ciebie!... Droga moja, wiesz, ja ci chciałam powiedzieć!...

Wanda stała się nagle bardzo blada.

— Co? — rzuciła zmienionym, głuchym głosem.

(Ciąg dalszy nastąpi).